



Bram Stoker

Dracula

Dracula

Bram Stoker

Dracula

Przekład: Magdalena Moltzan-Małkowska

Ilustracje: Andrzej Masianis



Tytuł oryginału: Dracula
Copyright for this edition © Vesper, Poznań 2011
All rights reserved
Copyright for the illustrations © Andrzej Masianis

Przekład: Magdalena Moltzan-Małkowska
Ilustracje: Andrzej Masianis
Redakcja: Hanna Śmierzyńska
Korekta: Urszula Przasnek
Skład i łamanie: Paweł Orłowski

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być reprodukowana bez zgody wydawcy,
z wyjątkiem zacytowania krótkich fragmentów przez recenzenta.

Dystrybucja:
In Rock
ul. Gdyńska 30 A
62-004 Czerwonak
tel./faks 61 868 67 95
e-mail: handlowy@inrock.pl
www.inrock.pl

Vesper
www.vesper.pl
Wydanie I
Poznań, październik 2011
ISBN 978-83-7731-032-8 miękka oprawa
ISBN 978-83-7731-287-2 twarda oprawa

Druk i oprawa: Drukarnia Abedik, Poznań



DZIENNIK JONATHANA HARKERA

(zachowany w stenogramie)

3 maja, Bystrzyca. – Wyjechałem z Monachium o godzinie 20.35 pierwszego maja i wczesnym rankiem dotarłem do Wiednia; rozkład jazdy przewidywał 6.46, lecz pociąg miał godzinę spóźnienia. Budapeszt z kolei, wnosząc z tego, co zaobserwowałem z okna pociągu i podczas krótkiego spaceru ulicami, to nader urokliwe miejsce. Przewornie trzymałem się blisko stacji, gdyż z uwagi na opóźnienie zaplanowano rychły odjazd. Odniosłem wrażenie, że opuszczamy Zachód i wkraczamy na Wschód, a najbardziej zachodni spośród okazałych mostów nad Dunajem, szerokim tu i bardzo głębokim, prowadził wprost do świata tradycji z czasów panowania otomańskiego.

Nadrobiliśmy zwłokę i po zmroku przybyliśmy do Kluz. Zatrzymałem się na nocleg w hotelu Royale. Na obiad, a dokładniej kolację, zjadłem kurczaka z papryką, bardzo smakowitego, acz wybitnie wzmagającego pragnienie. (Zap.: przepis dla Miny). Na moje pytanie o potrawę kelner odparł, że to „paprika hendl”, tradycyjne miejscowe danie, często spotykane w całych Karpatach. Moja mizerna znajomość niemieckiego okazała się tu bardzo przydatna; nie wiem doprawdy, jak poradziłbym sobie bez niej.

Jeszcze w Londynie odwiedziłem w wolnej chwili Muzeum Brytyjskie i przejrzałem dostępne tam książki oraz mapy odnoszące się do Transylwanii; przyszło mi do głowy, że pewna znajomość terenu będzie mi pomocna w kontaktach z przedstawicielem miejscowej arystokracji. Odkryłem, że wskazany przez niego region leży na samym wschodzie kraju, dokładnie na granicy trzech państw – Transylwanii, Mołdawii i Bukowiny, w samym sercu Karpat; jest to jeden z najdzikszych i najmniej zbadanych zakątków Europy. Nie trafiłem na żadną mapę ani zapis podające dokładne umiejscowienie zamku Dracula, albowiem tamtejsze mapy regionu pozostawiają wiele do życzenia w porównaniu do naszych. Ustaliłem jednak, że Bystrzyca, wspomniane przez hrabiego Draculę miasto z głównym urzędem pocztowym, to dosyć znane miejsce. Poniżej zamieszczam niektóre spośród moich notatek, aby pomogły odświeżyć mi pamięć w czasie późniejszych rozmów z Miną.

Ludność Transylwanii to przedstawiciele czterech narodowości: na południu mieszkają Sasi przemieszani z Wołochami, wywodzącymi się od Daków; na zachodzie Madziarzy, a na wschodzie i północy Szeklerzy. Będę przebywał pośród tych ostatnich, podających się za potomków Attyli i Hunów. Całkiem to możliwe, ponieważ gdy w jedenastym wieku kraj podbili Madziarzy, zastali na miejscu osiedlonych tu Hunów. Czytałem, że w tym rejonie Karpat gnieźdzą się wszelkie możliwe przesady, jak gdyby stanowił on ośrodek wiru zbiorowej wyobraźni; w takim wypadku mój pobyt zapowiada się nadzwyczaj interesująco. (Zap.: wypytać o nie hrabiego).

Mimo znośnego łóżka spałem nie najlepiej, ponieważ nękały mnie najdziwniejsze sny. Zapewne była to wina psa, który przez całą noc wył pod moim oknem, a może papryki, gdyż choć opróżniłem całą karafkę wody, wciąż dokuczało mi pragnienie. Usnąłem dopiero nad ranem i obudziło mnie natarczywe pukanie do drzwi, czyli spałem jednak jak suseł. Na śniadanie znów jadłem paprykę, a także rodzaj owsianki z mąki kukurydzianej, zwanej tutaj „mamałygą”, i faszerowane bakłażany, przepyszną potrawę o nazwie „impletata”. (Zap.: też zdobyć przepis). Musiałem przełykać w pośpiechu, gdyż pociąg odjeżdżał tuż przed ósmą, a przynajmniej miał odjechać, kiedy bowiem o siódmej trzydzieści dotarłem na stację, zmuszony byłem spędzić w stojącym wagonie jeszcze ponad godzinę. Zdaje mi się, że im bardziej na wschód, tym większa niepunktualność kolei. Aż strach pomyśleć, co czekałoby mnie w Chinach.

Cały boży dzień przemierzaliśmy niespiesznie krainę urzekającą pod każdym względem. Czasem naszym oczom ukazywały się miasteczka bądź zamki na szczytach stromych wzgórz, jakby żywcem wyjęte ze starych mszałów, innym razem mijaliśmy rzeki i strumienie, których poszarpane, kamieniste brzegi z obu stron musiały być świadkami częstych powodzi. Niemało trzeba było wody i wartkiego nurtu, aby nadać im taką postać. Na każdej stacji widziałem grupy, a czasem wręcz tłumy przeróżnie odzianych postaci. Niektóre przypominały chłopów angielskich bądź niemieckich, lub francuskich, w krótkich kurtkach, okrągłych kapeluszach i spodniach domowej roboty, pozostali jednak stanowili nader malowniczy widok. Kobiety wyglądały bardzo ładnie, przynajmniej z daleka, ale były grube w talii. Wszystkie miały bluzki z białymi, bufiastymi rękawami, a większość nosiła szerokie pasy oraz powiewne spódnice niczym tancerki w balecie, oczywiście z halkami pod spodem. Najdziwniej prezentowali się Słowacy, o dzikszym od pozostałych wyglądzie, w wielkich pasterskich kapeluszach, workowatych spodniach w odcieniu poszarzałej bieli, białych, płóciennych koszulach, od talii po pierś opięci ciężkimi pasami ze skóry, szerokimi na blisko trzy dłonie i nabijanymi mosiężnymi ćwiekami. Nosili wysokie buty z nogawkami spodni wpuszczonymi w cholewy, wszyscy też mieli długie, czarne włosy i sumiaste wąsiska. Jak już wspomniałem, przedstawiali widok malowniczy, acz dość przerażający: w teatrze zapewne odegraliby rolę egzotycznych rozbójników. Jednakże doszły mnie słuchy, że są w istocie nieszkodliwi i z natury nikomu nie wadzą.

Do Bystrzycy również dotarliśmy po zmroku; jest to stara i bardzo ciekawa miejscowość. Położona niemalże na granicy – przełęcz Tihuta prowadzi stąd prosto do Bukowiny – miała bardzo burzliwe dzieje, co tu i ówdzie zresztą widać. Przed pięćdziesięcioma laty nastąpiła tu seria groźnych pożarów, które pięciokrotnie dawały się we znaki mieszkańcom. Na początku siedemnastego wieku miejscowość przeżyła trwające trzy tygodnie oblężenie, które kosztowało ją trzynaście tysięcy ofiar, również z powodu chorób i klęski głodowej.

Hrabia Dracula skierował mnie do hotelu Złota Korona, który okazał się na wskroś staroświecki, co bardzo mnie ucieszyło, pragnąłem bowiem poznać tutejsze życie we wszelkich jego formach i przejawach. Najwyraźniej mnie tam oczekiwano, gdyż ledwo otwarłem drzwi, stanąłem oko w oko z czerstwą starszą niewiastą w wieśniaczym stroju – białej

spódnicy i kolorowej zapasce, z przodu i z tyłu opiętej niemal zbyt frywolnie. Na mój widok skłoniła głowę i zapytała: „Herr Anglik?”. „Tak”, odpowiedziałem. „Jonathan Harker”. Uśmiechnęła się i rzuciła coś pod adresem starszego mężczyzny w białej koszuli, który podszedł za nią do drzwi. Oddalił się, aby zaraz powrócić z listem:

Drogi przyjacielu.

Witam w Karpatach. Oczekuję Pana z niecierpliwością. Proszę dobrze się wyspać tej nocy. Jutro o trzeciej odjeżdża dyliżans do Bukowiny; ma Pan w nim zarezerwowane miejsce. Na przełęczu Tihuta będzie oczekiwał mój powóz i dostarczy Pana do mnie. Ufam, iż Pańska podróż z Londynu przebiegła szczęśliwie i że pobyt w moim pięknym kraju okaże się ze wszech miar udany.

Pański przyjaciel
Dracula

4 maja. – Dowiedziałem się, że mój gospodarz otrzymał od hrabiego list z poleceniem zarezerwowania dla mnie miejsca w dyliżansie, jednak gdy przychodziło do szczegółów, stawał się lakoniczny i udawał, że nie rozumie mojego niemieckiego. Chyba kręcił, jako że aż dotąd pojmował wszystko wyśmienicie, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie, odpowiadając wyczerpująco na moje pytania. On i jego żona, owa starsza niewiasta, która powitała mnie w drzwiach, wymienili zaleknione spojrzenia. Wymamrotał, że pieniądze przysłano w liście i nic mu więcej nie wiadomo. Kiedy zapytałem, czy zna hrabiego Draculę i może opowiedzieć mi co nieco o zamku, oboje przeżegnali się odruchowo i zakławszy się, że nie wiedzą nic a nic, do reszty nabrali wody w usta. Do wyjazdu pozostało tak niewiele czasu, że nie miałem już kogo pytać. Było to bardzo tajemnicze i niezbyt krzepiące.

Tuż przed moim wyjazdem kobieta przyszła do mojego pokoju i rzekła bez mała historycznym tonem:

– Musi pan jechać? Och, młody Herr, musi pan? – Wzburzenie do reszty pozbawiło ją znajomości niemieckiego i poczęła mieszać go z nieznanym mi językiem. Nie miałem innego wyjścia, jak zasypać ją pytaniami, które nasuwały mi się jedno po drugim. Na wieść o tym, że muszę niezwłocznie ruszać w drogę i wzywają mnie ważne sprawy, zapytała: – Czy wiesz, panie, jaki dziś dzień?

Odpowiedziałem, że czwarty maja, na co potrząsnęła głową.

– Tak, tak! Wiem, wiem! Ale jaki dzisiaj dzień? – A gdy odrzekłem, że nie rozumiem, podjęła: – Wigilia świętego Jerzego. Nie rozumiesz, panie, że dziś z wybiciem północy budzi się lichy i bierze w posiadanie cały świat? Nie wiesz, panie, dokąd jedziesz i do czego? – Była tak zatrzwożona, że próbowałem dodać jej otuchy, ale na próżno. W końcu padła na kolana, błagając, żebym nie jechał, a przynajmniej odroczył wyjazd o dzień lub dwa. Było to z gruntu niedorzeczne, ale poczułem się nieswojo. Niemniej czas naglił i nie miałem chwili do stracenia. Spróbowałem podnieść ją z podłogi i z całą powagą, na jaką było mnie stać, zapewniłem, iż dziękuję za troskę, lecz obowiązki wzywają mnie do natychmiastowego odjazdu. Wówczas wstała, otarła oczy, a następnie zdjęła z szyi krzyżyk i dała mi go. Nie wiedziałem, co począć, gdyż będąc anglikaninem, byłem nauczony traktować podobne zachowania jako czcze zabobony, czułem jednak, że nie wypada odmówić starszej kobiecie, przy tym tak wzburzonej i pełnej dobrych chęci. Musiała dostrzec na mojej twarzy powątpiewanie, gdyż założyła mi krzyżyk na szyję i ze słowami „Niech pan to zrobi dla matki” wyszła z pokoju. Piszę te słowa w oczekiwaniu na dylizans, czyli o późnej porze; krzyżyk wciąż mam na szyi. Nie wiem, czy strach gospodyni okazał się zaraźliwy, lecz daleko mi do zwykłej pogody ducha. Jeżeli ten dziennik dotrze do Miny przed moim powrotem, niech przekaże jej moje pożegnanie. A oto i dylizans!

5 maja. Zamek. – Minęła szarość poranka i słońce stoi wysoko ponad odległym horyzontem, jakby postrzępionym z lekka, czy to przez góry, czy może drzewa, tego nie umiem określić z całą pewnością, gdyż w dali duże miesza się z małym i zdaje się tym samym. Nie jestem śpiący, a ponieważ rano będę mógł się wyspać, oczywiście skracam sobie oczekiwanie na sen, pisząc w dzienniku. Wiele dziwów mam do opisanego i na wypadek, gdyby czytający te słowa nabrali przekonania, że przed wyjazdem z Bystrzycy pojadłem na kolację zbyt dobrze, niech pozwolą mi opisać ów posiłek dokładniej. Jadłem to, co tutaj zwą szaszłykiem zbójnickim – kawałki boczku, cebuli i wołowiny doprawione czerwoną papryką i opieczone na ruszcie nad ogniem, prosty w stylu na podobieństwo londyńskiej potrawki! Popijałem go winem Golden Mediasch, które dziwnie, acz intrygująco szczypie w język. Wypiłem go tylko dwa kieliszki i nic więcej.

Kiedy wsiadłem do dylizansu, woźnica nie zajął od razu miejsca na koźle i zobaczyłem, że rozmawia z gospodynią. Najwyraźniej mówili o mnie,

gdyż co rusz zerkali w moją stronę, a grupka ludzi siedzących na ławce obok drzwi – określanych tu mianem „zwiastunów wieści” – podeszła i przysłuchiwała się rozmowie, też popatrując na mnie, przeważnie ze współczuciem. Do moich uszu dolatywały powtarzające się dziwne słowa, wśród gapiów znajdowali się bowiem przedstawiciele różnych narodowości, toteż dyskretnie wyjąłem z torby słowniczek i je sprawdziłem. Muszę przyznać, że nie poprawiły mi humoru, gdyż między innymi było tam słowo „Ordog” – szatan, „pokol” – piekło, „stregoica” – czarownica oraz „vrolok” i „vlkoslak”. Dwa ostatnie oznaczają to samo, jedno po słowacku, a drugie po serbsku, a mianowicie „wilkołak” albo „wampir”. (Zap.: muszę spytać o te przesady hrabiego).

Gdy ruszyliśmy, tłumek przy drzwiach oberży, który przez ten czas urósł do spanych rozmiarów, przeżegnał się jak na komendę i każdy wycelował we mnie dwa palce. Z trudem udało mi się skłonić jednego ze współpasażerów, aby zdradził mi znaczenie owego gestu; zrazu nie chciał odpowiedzieć, lecz dowiedziawszy się, że ma do czynienia z Anglikiem, wyjaśnił, iż ma on chronić przed złym urokiem. Bardzo to było nieprzyjemne, gdyż bądź co bądź podążałem w nieznaną na spotkanie z obcym mi człowiekiem, ale wszyscy sprawiali wrażenie tak życzliwych, posmutniałych i przepełnionych współczuciem, że ogarnęło mnie mimowolne wzruszenie. Nigdy nie zapomnę widoku stłoczonych przed oberżą malowniczych postaci, z których każda czyniła znak krzyża, z gęstym listowiem oleandrów i drzewek pomarańczowych w tle. Nasz woźnica, którego szerokie, lniane portki przysłoniły cały koziół (zwą je tutaj „goca”), strzelił z bata i zaprzęg złożony z czterech koników pociągnął nas w drogę.

Zachwycony okolicą, wkrótce zapomniałem o lęku, chociaż gdybym znał język, a dokładniej języki, którymi porozumiewali się moi współpasażerowie, zapewne nie wyzbyłbym się go tak łatwo. Przed nami rozciągała się zielona, pofałdowana, gęsto zalesiona kraina, usiana tu i ówdzie stromymi wzgórzami, które zwieńczone były gospodarstwami bądź kępami drzew. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, pyszniły się drzewa owocowe w pełnym rozkwicie – jabłonie, śliwy, grusze i wisienki, a gdy przejeżdżaliśmy obok, widziałem kobierce opadłych płatków, zaścieniające trawę u stóp ich pni. Między zielonymi pagórkami krainy, zwanej tutaj Mittellandem, wiła się droga, ginąc czasem na trawiastych zakrętach bądź w sosnowych zagajnikach, które ogarniały zbocza na podobieństwo

języków ognia. Mimo wybojów zdążaliśmy naprzód w gorączkowym pośpiechu. Nie miałem pojęcia, czemu go przypisać, ale woźnica postanowił najwyraźniej dotrzeć do przełęczy Tihuta, nie tracąc ani chwili. Podobno latem droga jest doskonała, choć teraz jeszcze nie doprowadzono jej do porządku po zimowych śnieżycach, co wyróżnia ją na tle pozostałych miejscowych szlaków, o które zazwyczaj nikt nie dba. Dawniej gospodarowie nie zawracali sobie głowy ich naprawą, aby Turcy nie pomyśleli, że szykują je dla przemarszu cudzoziemskiej armii, co przyspieszyłoby wojnę, która wiecznie wisiała na włosku.

Za zielonymi, obłymi pagórkami Mittellandu wznosiły się potężne, zalesione wzgórza wiodące aż do wyniosłych urwisk samych Karpat. Górowały nad nami z obu stron, skąpane w blasku popołudniowego słońca, które wydobywało przepyszną tęczę królujących tu barw: kobaltu i fioletu w cieniach wierzchołków, zieleni i brązu porośniętych trawą skalistych zboczy oraz niekończący się bezmiar postrzępionych skał i spiczastych turni, które ginęły w dali śród zaśnieżonych szczytów. Gdzieniedzie moją uwagę przykuwały rozpadliny, w których w miarę zachodu słońca poczęliśmy dostrzegać biały poblask wodospadów. Kiedy okrążyliśmy podnóże pagórka i przed nami roztoczył się widok na dumny, zaśnieżony wierzchołek zdający się być bez mała na wyciągnięcie ręki, jeden z towarzyszków podróży dotknął mojego ramienia:

– Patrz! Isten szek! Boże siedzisko! – I przeżegnał się z namaszczeniem. Jechaliśmy coraz dalej, a słońce opadało coraz niżej za naszymi plecami i raptem otoczyły nas pełzające cienie. Światło igrające wśród pokrytych śniegiem szczytów, które zdawały się jarzyć chłodnym, różowym blaskiem, pogłębiało jeszcze niesamowity efekt. Po drodze mijaliśmy Czechów i Słowaków w barwnych przyodziewkach i zauważyłem, że wole jest, niestety, w tej okolicy częstym zjawiskiem. Na poboczu widniały liczne krzyże, na widok których moi współpasażerowie jak na komendę czynili znak krzyża. Gdzieniedzie widywałem wieśniaków klęczących przed przydrożnymi kapliczkami, którzy nie odwracali się nawet na turkot kół powozu, jak gdyby modlitwa pochłaniała ich tak, że głuchli i ślepli na cały świat. Wiele rzeczy było tu dla mnie nowością, na przykład stogi siana umieszczone na drzewach, a także urokliwe kępy brzoź o białych pniach, lśniących pośród listowia jak żywe srebro. Od czasu do czasu mijaliśmy leiterwagon – zwykły, chłopski wóz na wysokich pełnych kołach o wężowo pofalowanych krawędziach, jakoby lepiej przysposobionych do wyboistego

gościńca. Każdy z nich wiozł do domu liczną grupę pasażerów, Czechów w białych lub Słowaków w barwionych kozuchach, przy czym ci drudzy dzierżyli w dłoniach długie kije z toporkami na końcach, uniesione w górę jak lance. Wieczór przyniósł chłód, a nadciągający zmierzch zdawał się łączyć w jedno mroczną mglistość drzew, dębów, buków i sosen, chociaż w dolinach leżących głęboko pomiędzy szczytami, na tle zleżałego śniegu gdzieniegdzie odcinały się czarne świerki. Czasem droga biegła przez sosnowy las, który w półmroku zdawał się zewsząd napierać na nas szarością otulającą drzewa, rodząc ponury i uroczysty nastrój, przez co rozbudzone wcześniej złowrogie myśli i obrazy powróciły ze zdwojoną siłą w chwili, gdy gasnący zachód rozjaśnił niesione wiatrem widmowe obłoki, które w Karpatach snują się w dolinach bez przerwy. Wzgórza bywały tak strome, że mimo wysiłków woźnicy zaprzęg tracił tempo. Zaproponowałem, byśmy wysiedli i ulżyli koniom pod górę, ale woźnica nie chciał o tym słyszeć. „Nie, nie”, zaoponował. „Tu pan nie chodzić, tu psy zbyt dzikie”. I dodał w przyplýwie wisielczego humoru, rzucając reszcie porozumiewawcze spojrzenie: „Jeszcze zaznaczę dość tego, panie, nim pójdziecie spać”. Przystanął tylko na chwilę, żeby zapalić lampy.

Wraz z nadejściem mroku wśród pasażerów zapanowało poruszenie i co rusz to jeden, to drugi nagabywali woźnicę, jakby namawiali go do wzmożonego pośpiechu. On zaś bezlitośnie smagał batem koniki i dzikimi okrzykami skłaniał je do większego wysiłku. Naraz ujrzałem na wprost płamę szarego światła, jakby między wzgórzami otworzyła się rozpadlina. Wzburzenie pasażerów przybrało na sile, rozpędzony dyliżans podskoczył na skórzanych resorach i zakotyłał się jak łódź na falach wzburzonego morza, tak że musiałem chwycić się poręczy. Po czym szlak się wyrównał i pomknęliśmy po nim jak wiatr. Nagle góry jakby napały na drogę ze wszystkich stron, mierząc nas surowym spojrzeniem; wjeżdżaliśmy na przełęcz Tihuta. Pasażerowie poczęli kolejno obdarowywać mnie najróżniejszymi drobiazgami, które wpychali mi do rąk gestem nieprzyjmującym odmowy, ale w dobrej wierze, z serdecznością, błogosławieństwem i tymi osobliwymi gestami, jakie już widziałem przed zajazdem w Bystrzycy: znakiem krzyża i dwoma palcami mającymi odpędzać zły urok. Pędziliśmy przed siebie; woźnica schylił się na koźle, a moi towarzysze podróży rozglądali się na boki, gorliwie wyteżając wzrok. Czułem, że coś dziwnego dzieje się lub ma się stać, ale nikt nie raczył mi tego wyjaśnić, choć zagadywałem wszystkich i każdego z osobna. Trwali-

śmy w stanie wielkiego napięcia, aż wreszcie przed nami, po wschodniej stronie, rozwarła się przełęcz. Nad naszymi głowami przetaczały się ciemne chmury, powietrze było ciężkie zapowiedzią burzy. Wydawało się, jakby pasmo gór rozdzieliło dwie różne strefy powietrza i my wjechaliśmy właśnie w tę burzową. Teraz i ja wytrzymałem wzrok, wypatrując powozu, który miał zawieźć mnie do hrabiego. Spodziewałem się lada chwila ujrzeć przed sobą jego światła, lecz wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Widziałem tylko migające płomyki naszych lamp, w blasku których para buchająca z umęczonego zaprzęgu tworzyła w górze biały obłok. Widzieliśmy przed sobą odcinającą się w mroku piaszczystą drogę, lecz ani śladu powozu. Pasażerowie opadli na siedzenia z westchnieniem ulgi, która zdawała się szydzić z mojego rozczarowania. Zastanawiałem się, co począć w takiej sytuacji, gdy naraz woźnica, otwarty zegarek, powiedział coś do pozostałych tak cicho, że prawie nie zrozumiałem, chyba „godzinę przed czasem”. Następnie zwrócił się do mnie i oznajmił łamaną niemiecką, jeszcze gorszą niż moja:

– Nie ma powozu. Jednak nikt na Herr nie czeka. Herr pojedzie do Bukowiny i wróci jutro albo pojutrze. Najlepiej pojutrze. – W chwili gdy wyrzekł te słowa, konie zaczęły się szarpać i spinać tak, że z trudem je przytrzymał. I nagle, przy wtórze chóralnych okrzyków pasażerów, którzy jeden przez drugiego poczuli czynić znak krzyża, z tyłu wyłonił się powóz zaprzężony w cztery konie i wyprzedziwszy nas, stanął przed dyliżansem. W świetle naszych lamp ujrzałem smolisty jak noc, przepyszny zaprzęg. Powoził nimi wysoki mężczyzna z długą, kasztanową brodą i w wielkim, czarnym kapeluszu, który zdawał się kryć jego twarz przed naszym wzrokiem. Dostrzegłem tylko błysk jego roziskrzonych oczu, które zdawały się jarzyć czerwienią, kiedy zwrócił się w naszą stronę.

– Wcześniej przyjechaliście, przyjacielu – powiedział do woźnicy, na co ten wyjąkał w odpowiedzi:

– Herr Anglik się spieszył.

– I pewnie dlatego namawialiście go na podróż do Bukowiny – odparł nieznajomy. – Nie oszukasz mnie, przyjacielu. Nic się przede mną nie ukryje, a moje konie mkną jak wiatr. – Mówiąc to, uśmiechnął się i światło padło na jego usta o twardym zarysie i bardzo czerwonych wargach, między którymi białały ostre zęby. Jeden z moich współpasażerów szepnął do drugiego zdanie z „Lenory” Burgera:

Denn die Todten reiten schnell.
(„Bowień zmarły podróżuje szybko”).

Nieznajomy stangret musiał to usłyszeć, gdyż spojrział na niego z szerokim uśmiechem. Tamten odwrócił twarz, wysuwając przed siebie dwa palce i czyniąc znak krzyża.

– Podajcie багаż Herr Anglika – polecił przybysz.

Moje torby w mgnieniu oka znalazły się w powozie. Następnie przysła kolej na mnie i stangret pomógł mi się przesiąść, ściskając moją dłoń w żelaznym uchwycie; musiał być silny jak tur. Bez słowa szarpnął lejce, konie zawróciły i pograżyliśmy się w mroku przełęczy. Obejrawszy się, zobaczyłem parę bijącą z końskich zadów i sylwetki mych niedawnych towarzyszy podróży, którzy żegnali mnie znakiem krzyża. Potem ich woźnica strzelił z bata i krzyknął na konie, dyliżans ruszył z miejsca i podążyli w stronę Bukowiny.

Na widok oddalającego się swojskiego pojazdu ogarnął mnie dziwny chłód i dotkliwe poczucie osamotnienia, ale zaraz narzucono mi płaszcz na ramiona, a na kolana derkę, i stangret odezwał się bezbłędną niemczyzną:

– Noce bywają zimne, mein Herr, i pan hrabia kazał się o pana zatroszczyć. W razie potrzeby pod siedzeniem znajdzie pan butelkę śliwowicy [miejscowy trunek ze śliwek].

Nie skorzystałem z tej propozycji, lecz jego słowa sprawiły mi pewną ulgę. Czułem się nieco wyobcowany i przestraszony nie na żarty. Sądzę, że gdyby dano mi wolną rękę, zrobiłbym wszystko, by odstąpić od tej nocnej wyprawy. Powóz zwałwo podązał naprzód, po czym zrobiliśmy nawrót i ruszyliśmy kolejną prostą. Odniosłem nieodparte wrażenie, że obraliśmy tę samą drogę, co poprzednio, zapamiętałem więc pewien charakterystyczny punkt i niebawem utwierdziłem się w swych podejrzeniach. Najchętniej zapytałbym stangreta, cóż to wszystko ma znaczyć, lecz strach zamknął mi usta, pomyślałem bowiem, że jeśli ów celowo wydłuża trasę wszelkie protesty okażą się bezcelowe. Koniec końców jednak, powodowany ciekawością, zapaliłem zapałkę i spojrziałem na zegarek: od dwunastej dzieliło nas parę minut. Aż struchlałem, ostatnie przeżycia rozbudziły bowiem we mnie głęboko zakorzenione przesady na temat północy. I dręczony niepokojem, czekałem na dalszy rozwój wypadków.

Naraz gdzieś w oddali zawył pies – było to długie, rozdzierające

zawodzenie, jakby wywołane strachem. Podchwycił je drugi, potem jeszcze jeden i następny, aż wreszcie wycie rozlegało się z każdej strony, niesione wiatrem, który z miękkim westchnieniem osnuwał przełęcz. Jakby odezwały się psy w całej okolicy, aż do granic wyobraźni i ludzkiego pojmowania. W pierwszej chwili konie spłoszyły się nieco, ale stangret przemówił do nich kojącym tonem i ucichły, trzęsły się jednak i połyły, jakby przed chwilą umknęły przed czymś, co strasznie je przerażyło. Wtedy z daleka, spośród gór po obu stronach drogi, dobiegło inne, bardziej przeraźliwe wycie. To wilki dały o sobie znać, a konie i ja chyba pomyśleliśmy o tym samym, gdyż ja nabrałem ochoty, by wyskoczyć z powozu i rzucić się do ucieczki, one zaś znów poczęły wierzgać i stawać dęba, toteż stangret musiał użyć całej swojej wielkiej siły, aby utrzymać je w ryzach. Po chwili moje uszy oswoiły się z tym dźwiękiem, a konie opanowały na tyle, że stangret mógł zeskoczyć z kozła i stanąć obok nich. Poklepywał je i uspokajał, szepcząc im przy tym coś do ucha zwyczajem zaklinaczy koni, co – o dziwo – przyniosło pożądaną rezultat, gdyż pod wpływem pieczyoty zwierzęta dały się udobruchać, chociaż nadal drżały na całym ciele. Stangret ponownie zajął miejsce na kozle, potrząsnął lejcami i zaprzęg ruszył z kopyta. Tym razem jednak, gdy dojechalśmy do przeciwnej strony przełęcz, mój przewodnik wjechał nagle w wąską drogę, skręcającą ostro na prawo.

Niebawem otoczyły nas drzewa, koronami splecione gdzieniegdzie ponad gościńcem, przez co zdążyliśmy jakby tunelem, a po obu stronach ponownie wypiętrzyły się surowe oblicza gór. Mimo owego zadaszenia z listowia słyszeliśmy narastający wiatr, jęczał bowiem i świstał wśród skał, a gałęzie drzew smagały się nawzajem ponad naszymi głowami. Ziąb zapanował jeszcze bardziej dokuczliwy i zaczął prosić drobny śnieg, toteż wszystko wokół nas niebawem pokryło się cienką, białą warstewką. Przenikliwy wicher nadal przynosił wycie psów, które jednak z czasem stawało się coraz słabsze. Zawodzenie wilków z kolei przybrało na sile, jakby stopniowo zacieśniały krąg wokół nas. Odchodziłem od zmysłów ze strachu, konie tak samo, lecz stangret zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Kręcił głową na prawo i lewo, ale czego wypatrywał, nie mam pojęcia.

Naraz, po lewej stronie, dostrzegłem migotliwy, błękitny ogienek. Stangret zauważył go w tej samej chwili; natychmiast ściągnął konie i zeskoczywszy z kozła, zniknął w ciemnościach. Nie wiedziałem, co



robić, zwłaszcza że wilki zdawały się napierać coraz bliżej, lecz powrót stangreta przerwał moje deliberacje i ruszyliśmy w dalszą drogę. Chyba zasnąłem i rzecz rozegrywała się dalej w moim śnie, sytuacja powtórzyła się bowiem wielokrotnie i z perspektywy czasu jawi mi się niczym koszmar. Raz ogienek ukazał się tak blisko drogi, że mimo ciemności widziałem każdy ruch stangreta. Szybkim krokiem zbliżył się do błękitnego ognika – który musiał być bardzo słaby, gdyż zdawał się nie rozświetlać wcale otoczenia – i zebrawszy parę kamieni, coś z nich ułożył. W pewnej chwili doszło do osobliwego zjawiska optycznego, bo kiedy stanął pomiędzy mną a ognikiem, wcale go nie przesłonił, nie straciłem bowiem z oczu upiornego migotania. Wzdrygnąłem się na ten widok, lecz trwał on zaledwie mgnienie oka i uznałem, że to wzrok płata mi figle. Później błękitne ogniki na pewien czas przestały się pokazywać i gnaliśmy w ciemności na złamanie karku, przy wtórce wycia wilków, które podążały za nami jak cienie.

Wreszcie stangret, zsiadłszy z kozła, zapuścił się na pobocze głębiej niż dotychczas i podczas jego nieobecności konie zaczęły trząść się jak osiki, parskać i rzeć ze strachu. Nie rozumiałem, dlaczego tak się dzieje, ponieważ wycie ustało zupełnie, wówczas jednak nad poszarpanym, zalesionym urwiskiem zza czarnych chmur wysunął się księżyc i w jego blasku ujrzałem otaczający nas pierścień wilków z obnażonymi zębami i wywalonymi jęzorami, o długich, żyłastych łapach i skołtunionej sierści. Stojąc w ponurej ciszy, roztaczały po stokroć większą grozę niż wtedy, gdy ich głosy niosły się w mroku. Strach dosłownie mnie sparaliżował. Dopiero oko w oko z taką potwornością człowiek uświadamia sobie jej rzeczywisty wymiar.

Wilki jak na komendę zaczęły wyć, jak gdyby księżycowe światło wywarło na nie dziwny wpływ. Konie omal nie oszalały ze strachu i rozpaczliwie toczyły wzrokiem dokoła, aż serce pękało od tego widoku, lecz wróg otaczał je z każdej strony i nie było ucieczki. Zawołałem na stangreta, ponieważ uznałem, że naszą jedyną szansą jest przedrzeć się przez otaczający nas krąg, w tym celu musiał jednak jak najszybciej powrócić. Krzychałem i tłukłem w bok powozu w nadziei, że je odstraszę, umożliwiając mu tym samym wspięcie się na kozioł. I nie wiem, jak to się stało, lecz nagle usłyszałem jego rozkazujący głos i spojrzawszy w tamtą stronę, zobaczyłem, że stoi na poboczu. Gdy machnął długimi rękami, jakby odsuwając niewidzialną przeszkodę, wilki poczęły się

cofać. W tej samej chwili tarcza księżycy skryła się za ciężkim obłokiem i znów otoczył nas mrok.

Kiedy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, stangret już wspinał się na kozioł, a wilki przepadły jak kamień w wodę. Było to tak dziwne i niesamowite, że znowu padł na mnie blady strach i siedziałem jak trusia. Ponownie ruszyliśmy przed siebie w ciemności choć oko wykol i straciłem poczucie czasu. Pięliśmy się w górę, z rzadka tylko zjeżdżając w dół, droga zdawała się jednak prowadzić na szczyt. I nagle stwierdziłem, że stangret ściąga koniom lejce na dziedzińcu wielkiego, zrujnowanego zamku, z którego wysokich, czarnych okien nie padał ani jeden promyk światła, a wykruszone baszty rysowały się postrzępioną linią na tle osnutego księżycową poświatą nieba.



Opublikowana w 1897 roku powieść „Dracula” irlandzkiego pisarza Brama Stokera wstrząsnęła czytelnikami, natychmiast stając się sensacją, a dziś uchodzi za klasykę gatunku grozy, słusznie zaliczaną w poczet stu najwybitniejszych powieści wszech czasów. Ujęta w formę listów, wycinków prasowych i fragmentów dzienników, porusza autentyzmem oraz złożonością i różnorodnością zawartych w niej uczuć i emocji. Mimo upływu lat hrabia Dracula wciąż przeraża...

Nowy, doskonały przekład klasycznego horroru!

Patroni medialni:

ISBN 978-83-7731-287-2



9 788377 312872 >



www.vesper.pl

Cena: 49,90 zł

carpe noctem
www.carpe-noctem.pl



BESTIARIUSZ

**okoLica
STRACHU**

